

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.
Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.

$\frac{1}{2}$ „ — 40 „

$\frac{1}{4}$ „ — 20 „

$\frac{1}{8}$ „ — 10 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Przedłużone prowizorium.

Najpiękniejsze, najbardziej szczone słowa i hasła, skoro się je stosuje na codzień—powszedniej, popolitują się, zatracają właściwy sens, stają się nic nie mówiącymi komunałami lub co gorzej obłudną frazeologią.

Jednym z typowych i aktualnych objawów tego zbanalizowania formy i treści jest pusta deklamacja na temat pacyfikacji świata za pomocą ogólnych i poszczególnych paktów o nieagresji.

Czytając obecnie gazety w jakimkolwiek języku, można odnieść wrażenie, że zbliżamy się do jakiejś wymarzonej epoki, kiedy to stare przysłowie „homo homini lupus est” można będzie uważać za barbarzyński anachronizm. Ze szpalt zadrukowanych płynnie na świat przyjemne złudzenie, że narody i rządy stają się coraz bardziej pokojowo usposobione, że antagonizmy pomiędzy państwami łagodnieją, przeciwieństwa się zacierają. Zawierane są pakt o nieagresji, wciąż radzą o rozbrojeniu.

I coraz bardziej... zbroją się.

W tej dziedzinie każde państwo pragnie stosować wyścig pracy w myśl sowieckiej maksymy: *dognat' i pierognat'*. A że nikt nie życzy sobie pozostać w ogonie lub wycofać się z wyścigu, budżety ministerstw wojny i gorączka zbrojeniowa wciąż rosą. Z drugiej strony stosuje się jeden z najbardziej wypróbowanych środków: system paktów pokojowych, tak umiejętnie inicjowany i przeprowadzany przez Sowiety. I nic dziwnego. Kto jak kto, ale rządy sowieckie najlepiej pamiętają, że klęskę carskiej potędze zadały dwie ostatnie wojny: z Japonią i z Niemcami. Bolszewicki system rządzenia niewątpliwie ma dużo podobieństwa z cechem i ten, może nawet przesadny, strach przed upadkiem każe bolszewikom wszędzie dopatrywać się

groźby interwencji i zapobiegać jej posunięciami na drodze dyplomatycznej.

I oto jesteśmy świadkami powodzi paktów. Ich wielka obfitość, niespodziewane powstawanie nasuwa pewne refleksje, które trzeźwo patrzącemu obserwatorowi odbierają wszelkie złudzenia.

Jeżeli dwa obok siebie położone państwa zawierają taki czy inny sojusz w celu obrony przed agresją państwa trzeciego, będzie to sojusz całkiem naturalny i trwały. Jeżeli zaś jeden z sojuszników na drugi dzień zawiera pakt z wczorajszym wspólnym przeciwnikiem, tem samym obydwie pakt nabierają posmaku nietrwałości, sztuczności, tracą swe znaczenie i wartość. Gorzej jeszcze jeżeli na przyszłość mogą być przyczyną nowych konfliktów pomiędzy sprzymierzonymi. Taką cechą nosi masowość obecnego „pojednywania” się państw o całkiem sprzecznych dążeniach i ustrojach.

Polityka zagraniczna Polski w roku ubiegłym odniosła znaczne sukcesy. W ręku ministra Becka nabrała ona niebyłej sprężystości i samodzielności. Niemoc Ligi Narodów i pakt Czterech zachęciły rząd polski do śmiałych posunięć bez utartego oglądania się na opinię mocarstw europejskich. A więc zawarto pakt o nieagresji z ZSSR, poczem uzupełniono go układem o definicji napastnika. Dalej, wbrew oczekiwaniom zaostrenia stosunków polsko-niemieckich po objęciu władzy przez Hitlera, doszło najniespodzianie w świecie do układu z Niemcami i to w chwili, kiedy niemieckie nastroje antypolskie i odwetowe, zdawało się, osiągną punkt kulminacyjny. Wreszcie stosunki polsko-gdańskie uległy znacznej poprawie. Są to fakty zbyt znane i omawiane, by była potrzeba na tem miejscu zagłębiać się w szczegóły.

Min. Beck w exposé wygłoszonym w komisji senackiej w dniu 5 lutego krótko, lecz z naciskiem podkreślił zdobycze polskiej polityki na forum mię-

dzynarodowem i niewątpliwie musiał być zadowolony ze swojej roli. Nie szczędziła mu uznania nawet w pewnej mierze opozycja. A przy omawianiu preliminarza budżetowego w sejmie, duży sukces w polityce zagranicznej Polski nie zawahał się stwierdzić nawet dr. Lewicki, przywódca opozycji ukraińskiej.

Nie da się zaprzeczyć, że układy i porozumienia przyczyniają się do polepszenia stosunków nie tylko pomiędzy rządami, ale i narodami. Najlepiej to się da zaobserwować dziś w rozwoju współpracy na polu kulturalnym i ekonomicznym. Nie znaczy to jednak, by dzisiejsze masowe zabiegi dyplomatyczne jak w Polsce, tak i w innych krajach, choćby w najmniejszym stopniu usunęły te przyczyny, które doniedawna groziły wybuchem wojny. Czy przez swe układy z sąsiadami bolszewicy zrezygnowali z nadziei i dążeń do uczynienia świata jednym związkim sowieckim? Praktyka ostatnich czasów tego nie potwierdziła. Wprawdzie prasa sowiecka spuściła z tonu w wymyślaniu i drwin ze zgnitego zachodu, a Rosja wzmacnia stosunki ekonomiczne i kulturalne z Polską, natomiast ulotki i broszury komunistyczne obfitym deszczem padają na nasze ziemie w dalszym ciągu.

A może Niemcy zrzekli się po rozmowach z p. Lipskim i zawartym pakcie ze swoich terytorjalnych pretensyj? Oczywiście nie. Pretensje te w narodzie niemieckim tak są zakorzenione, że wymaganie od niego całkowitej rezygnacji byłoby przekreśleniem wszelkich pertraktacji z ofiarą wersalskiego traktatu. To też nikt oficjalnie, jak się zdaje, od Niemiec tego nie wymagał.

Gdańskowi Polska może niewielkim kosztem poczynić bardzo wiele ustępstw. Może go zrobić kwitnącem ekonomicznie miastem, ale tem jeszcze patriotów gdańskich od duchowej łączności z Rzeszą

i dążeń do zjednoczenia z nią się nie odwiedzie.

Skoro więc mowa o pacyfikacji Europy, skoro się tworzy sielanekę na gruncie niemal braterskiego współżycia pokłóconych dotąd ze sobą narodów, należy podkreślić, że wszystkie te poczynania są wywołane koniecznością, wynikającą z chaosu ustrojowego, nędzy i bezrobocia. Nie są natomiast one układami trwałymi, przemyślanymi gruntownie i obliczonymi na szczerą i dobrą wolę kontrahenta, jak to się działo w przeszłości, gdy takie układy nie miały charakteru „masowej produkcji” i gdy nad wykonaniem tych układów czuwały elementy może nieraz reakcyjne, ale w czasach, kiedy etyka w polityce miała więcej mocy obowiązującej. Dziś, niestety, bardziej niż kiedykolwiek wszelka umowa, o ile nie jest dostatecznie zagwarantowaną siłą fizyczną, pozostaje przede wszystkim świstkiem papieru.

To też pacyfistycznych układów i takichże haśle w dobie obecnej nie należy zbyt przeceniać.

Nawet wtedy, gdy traktować je, jako próbę odroczenia konfliktów.

Od kilku dni prasa polska, zwłaszcza wileńska bije wciąż na alarm, przytaczając długie wykazy ofiar represyj, stosowanych ostatnio przez litewskie władze administracyjne względem inteligencji polskiej za zajmowanie się tajnym nauczaniem.

Czy istotnie w ostatnich czasach fala represyj w Republice Litewskiej tak wezbrała, czy też wzmogła się tam nielegalna akcja oświatowa, czy wreszcie zamieszczone w komunikatach prasowych dane są ściśle i czy nie są one zgrupowane celowo dla wywołania odpowiedniego efektu—nie podejmuje się sądzić, nie mając bezpośrednich informacji.

Jeżeli nawet dopuszczono się przytem przesady i tendencji, to niewątpliwie nie wyszano podanych faktów z palca. Trudno przecież przypuścić, aby powtórzono znów ten sam

Bernardyni na Litwie i Białorusi.

(D. c.)

„Już r. 1519, jeżeli nie wcześniej gwardjan i konwent kowieński wypowiedzieli posłuszeństwo kustoszowi Rafałowi, a zapewne wogóle zwierzchności prowincjalnej. Bezpośrednich przyczyn nie znamy, tło stanowiło przeciwieństwo do kustosza Polaka. Nie mógł czy nie umiał Rafał ich uspokoić, zaniósł więc skargę do biskupa. Rozstrzygnięcie przypadło nowemu ordynariuszowi Janowi z książąt Litewskich (1519—35) i to jeszcze przed konsekracją, ale przy jego młodości i niedoświadczeniu istotnie wyrok ułożyli członkowie kapituły. Sąd ten wypadł na rzecz kustosza, kowieński konwent zobowiązywał do posłuszeństwa kustoszowi aż do przybycia komisarza bernardyńskiego. Zygmunt I pochwalił syna za ten wyrok, a kiedy kowieńczycy nie chcieli posłuchać, wystosował do nich groźny list, wzywający do upamiętania i grożący wygnaniem. Może na to wpłynęło też zachowanie, jakie Rafał posiadał na dworze, osobliwie u Bony... Kowieńczycy przycichli. Skoro ge-

nerał (Bernardynów) Lichetto odbywał kapitułę w Krakowie 24 — 28 sierpnia 1520, nie przedkładano mu zatargu kowieńskiego; można mniemać, że miano go za załatwionym...

„Atoli Litwini nie porzucili sprawy. Teraz wszakże na widownię wysuwa się żywioł świecki. Jan Cichy z Wilna wytacza skargę przed legatem Ferrerim podczas tegoż pobytu w Wilnie (jesień—zima 1520—1), że Bernardyni wywieźli skarb Stanka do Polski. Skarga ta znajduje poparcie samego króla. Wielmożom litewskim, głównie Gasztoldowi udało się przeciągnąć nledolężnego monarchę na swoją stronę. Legat kazał rzecz zbadać, ale wynik tych dochodzeń usprawiedliwił zakonników. Zygmunt oburzył się na to, uwierzył bowiem był skardze. Wysłał pismo do kardynała de Grossis, w którym żądał ponownego rozpatrzenia sprawy przez prymasa. Czy do tego przyszło, nie wiemy.

„Ufni w poparcie królewskie i wielmożów, Kowieńczycy poczynają sobie coraz śmielej. Rozszerzają pogłoski o krzywdach, jakich doznają od Polaków, o zaborze skarbów, o wywożeniu kosztowności, o upośledzaniu w przełożenstwach i występują z żądaniem, że jak Polska, tak i Litwa powinna mieć

manewr fabrykowania podniecających komunikatów, co w r. 1927.

Rozumiemy też w zupełności oburzenie opinii polskiej na objawy skrajnego nacjonalizmu litewskiego w stosunku do mniejszości polskiej na terenie Litwy Niepodległej, chociaż należałoby przypomnieć przy tej sposobności stare przysłowie *medice cura te ipsum*.

W żadnym jednak razie nie możemy pojąć stanowiska tych pism, które nawołują władze polskie do stosowania takich samych metod eksterminacyjnych wobec miejscowej ludności litewskiej, czyli do powtórzenia słynnych „retorsyj”. Pomijając głęboką niemoralność barbarzyńskiej taktyki odwetowej, wiemy przecież z doświadczenia, że nie dała ona w r. 1927 oczekiwanych wyników. Nie wywarła pożądanego wrażenia na rząd litewski, natomiast wywołała głuche niezadowolenie w społeczeństwie litewskim w Wileńszczyźnie, trwające aż dotąd. Jakżć więc cel i sens uciekać się znów do chybionego środka?

Ziemiaństwo na rozdrożu.

Zmarła niedawno ś. p. Konstancja Skirmuntt, przed trzema laty pisała na łamach „Przeгляdu Wileńskiego” w artykule „Zapomnienie historii” co następuje:

„Jedną z największych krzywd zadanych nam przez stuletnią niewolę rosyjską, jest zaszczepienie w umysłach naszych niepamięci własnych dziejów — *zapomnienie historii*. Nie znamy jej, mianowicie na rozłogach tego wspaniałego niegdyś Jagiello-Witoldowego państwa — od Połagi do Odessy, ignorując pochodzenie własne, pozwalamy zmyślać o tych ziemiach swych ojczystych niestworzone rzeczy”.

A na innym miejscu w tymże artykule:

„Prawda pozostała znana tylko w szczupłym kółku fachowych uczonych albo ludzi zamiłowanych w toniach narodowych. Sztuczny pokost rosyjski historyczno-geograficzny pokrył kraje nasze do tego stopnia, że urzędnicy z b. Królestwa lub Galicji, przybывая tu w nowych czasach, nie umieli sobie dać rady z pojęciami Ruś, Rosja, Białoruś, ruski,

rusiński, rosyjski, — i nie umieją dotąd. Ogół inteligentny ich nie objaśnia i sam zarządza się terminologią splątana i błędna. Za nazwą fałszywą idzie fałszywe pojęcie, za pojęciem uczucie, i tak się wytworzą w społeczeństwie prądy duchowe, w praktyce życia społecznego prowadzące wprost na bezdroża”.

By powyższe arcycyśluszne uwagi spopularyzować, nie wystarczy tutaj je powtórzyć. Trzeba je powtarzać zawsze i wszędzie, aż zastanowią się nad nimi ci wszyscy, którzy pod wpływem fałszywej ambicji i nieznajomości historii własnego kraju zmyślali zabawne historie rodowe w rodzaju: „Moi przodkowie przybyli ongiś z pod Krakowa”. No, i oczywiście w charakterze jakichś dygnitarzy koronnych.

Ale w czyj imieniu i do kogo ś. p. Konstancja Skirmuntt wypowiedziała powyższe uwagi?

Sfery ziemiańskie u nas pozostawały duchowo dalekimi od idei szerzonych przez zmarłą publicystkę, która mimo to przemawiała przedewszystkiem jako przedstawicielka tej klasy i słowa swoje kierowała przedewszystkiem do tegoż ziemiaństwa. Że nawoływania „Futurusa” nie znajdowały posłuchu — jest to całkiem zrozumiałe. Jest to los każdego, kto głosi hasła niepopularne. Nie znaczy to jednak, by z biegiem czasu słuszna i prawdziwa teza nie wypłynęła na powierzchnię życia, gdyż żadna prawda nie może trwać wiecznie w ukryciu. Chce się wierzyć, że przyjdzie czas, kiedy słowa ś. p. K. Skirmuntt znajdą całkowite zrozumienie w umysłach tych, którzy, ogarnięci owczym pędem do „Macierzy”, nie mieli czasu na zastanowienie się co mają robić i z kim się łączyć.

Dziś już następują pewne zmiany w psychice tutejszego ziemiaństwa. Inaczej być nie mogło.

Gdyby ktokolwiek zechciał scharakteryzować krótko dzisiejsze nastroje ziemiaństwa, musiałby je nazwać nie inaczej, jak *gorzkim rozczarowaniem*. Gdy dobiegli mety, przekonali się, że spaczony wychowanie, oparte na ignorowaniu własnej przeszłości pozbawiło ich poczucia rzeczywistości. Od niepodległości Polski spodziewali się poniekąd powrotu starych wymarzonych czasów: przywilejów, wpływów,

samoistną prowincję. Panowie litewscy obiecują, że na ten wypadek założą dwanaście nowych konwentów. Kto wie, czy nie udało się im wciągnąć do swoich planów Bony, czulej na Litwę zwłaszcza po narodzeniu syna, której wpływowym dworakiem był prowincjał Franciszkanów Konwentualnych Marek a Turre (1517-8-38), już z samego przeciwieństwa gałęzi franciszkańskich łatwy do pozyskania do akcji przeciw Bernardynom. Bądźco bądź związek braci kowieńskich z wielmożami litewskimi był tak silny, że Polacy z przekąsem nazywali ich *obediencją Gasztoldowską*.

„Oczywiście o posłuszeństwie Kowna względem kustosza i prowincji nie było już mowy. Konwentu ich pilnowali pachołkowie Gasztolda od ewentualnych kroków zarządu prowincji, nie dopuszczając do wizytacji. Usiłowali nawet opanować wileński klasztor. 21 stycznia 1526 r. Gasztold z biskupem Janem (wileńskim), kilku panami i zbrojnym orszakiem naszli go, aby wygnać zeń Polaków i oddać Litwinom! Ale gwardjan Bernardyn z Kalisza chociaż chory, nie ustąpił i potrafił ich skłonić do odwrotu. Podobno też jeszcze nie byli się zupełnie upewnili co do króla.

„Zebrawszy się tegoż roku kapituła bernardyńska w Kobylinie 8 września 1526 r. wybrała prowincjałem Rafała, spodziewając się, że łagodnością swoją uspokoi Litwinów. Kustosostwo wileńskie powierzono, domyślamy się, Gotardowi z Siemięcina, lubianemu na Litwie. Atoli wszystko nadaremno! Rafał chciał przedsięwziąć wizytę Litwy, m. i. Kowna. Litwini nie chcieli o tem słuchać. Ich opiekuni wdali się w rzecz. 12 czerwca 1527 r. Zygmunt wystosował pismo do wójta i rady miasta Kowna z nakazem aby nie dopuścili prowincjała polskiego do wizyty, w klasztorze. Nieco wcześniej wysłał wniosek do generała Zakonu, żeby utworzył samoistną prowincję z konwentów litewskich i w tym celu przysłał komisarza. Bracia polscy starali się temu przeciwdziałać. Na synod prowincjalny do Łęczycy 3 lipca 1527, klasztor wileński złożył prośbę, żeby wyjednał u króla, aby uspokoił zamieszki litewskie swoją powagą i nie dopuścił do rozdarcia prowincji, bo toby przyniosło szkodę też państwu. Synod spełnił życzenie zakonników, ale pismo jego do Zygmunta nie odniosło skutku.

„Generalny zarząd Zakonu wysłał jako komisarza Włocha. Ale ten, dla zawieruchy niemieckiej,

dobrobytu. Doczekali się zaś powolnej likwidacji swoich wielkich warsztatów rolnych i lekceważącego traktowania. I nie było na to rady. Trzeba było pogodzić się z duchem czasu. Próbowali szukać ratunku we współpracy z silnymi, dzierżącymi władzę. Rachuby zawiodyły.

Nadomiar złego coraz aktywniej napiera na ziemiaństwo ten niegdyś przez zapomnienie historii wyidealizowany element: gość z równiny mazowieckiej, z Galicji. Gość, który na oczach naszych przekształca się w gospodarza. Osiada na gruncie najczęściej należącym niegdyś do miejscowego ziemiaństwa, rozgląda się, i ni mniej, ni więcej zaczyna reprezentować, a przynajmniej chce reprezentować całą ludność kraju. Nie zawsze mu się to udaje. Osadnik polski rzucony w obce mu środowisko często stopniowo zatracą swoją narodowość, o ile nie należy do klasy inteligenckiej. W każdym razie nie tylko nie współpracuje z ziemiaństwem, ale jeszcze robi co może, by prędzej je doszczętnie zrujnować. Doszło do tego, że przedstawiciel osadników w Sejmie oskarża ziemian o niepłacenie świadczeń na rzecz państwa. Prostu donosi władzy, że taki to prezes związku ziemian robi wymówki członkowi organizacji, za to, że płaci podatki. Barwnie i szczegółowo opisał ten stosunek osadników do ziemian p. Rek w poprzednim numerze „Przeł. Wileńskiego”. Sprawa staje się coraz bardziej aktualną, a nowy sąsiad tych ziemian, prawdopodobnie także uprzedzany osadnik p. Jarociński na łamach „Kurjera Wileńskiego” obszernie analizuje impas ziemiański i daje im „zbawienne” rady, co mają robić. Posłuchajmy: „Niech w każdej wsi ziemianin uczestniczy i pomaga organizacji przez rząd tworzonej. Niech jego rada, pomoc i głos mają swą wagę w samorządach. Niech będzie dla państwa ośrodkiem i podporą w jego akcji kulturalnej, społecznej i politycznej”. A wtędy rząd będzie się liczyć z ziemiaństwem.

Złe się widocznie sanacji wiedzie na wsi, skoro trzeba wzywać do współpracy bądź co bądź nominalnych sojuszników. Co tu gadać. Wiadomo wszystkim, że każdy dzień ziemian od tej współpracy

oddala i trudno nawet wyobrazić sobie, by ziemianin dzisiaj zechciał organizować związek strzelecki i namawiać do wstąpienia doń sąsiada włościanina. Ziemianin w naszym kraju może najwyżej przyglądać się biernie wszystkiemu, co się dzieje dokoła w nowych warunkach. Ale bierna bezradna obserwacja zawiedzionych nic tu nie pomoże. Trzeba obrać sobie drogę. Iść za radą p. Jarocińskiego i współpracować z osadnikami i rozmaitego typu kulturregerami—nie leży to w interesie ziemian i nie odpowiada ich nawykniom. Zbyt jest wielka rozpiętość pomiędzy psychiką miejscowego obszarnika, a przybysza z zachodu. I oto jesteśmy świadkami bardzo ciekawego procesu, kiedy życie rozwiewa sztuczny, przez niewolę rosyjską wytworzony, sentyment do dawniejszych „koroniarzy” i wykazuje namacalnie, że wspólny język to za mało, by wzajemnie się rozumieć i czuć się bliskimi. Trzeba jeszcze czegoś więcej, a mianowicie: wspólnych tradycji, wspólnej historii, wspólnego pochodzenia, wspólnej psychiki. Słowem, wszystkiego tego, na co składają się wieki.

I tu właśnie należy mówić o stosunku ziemiaństwa do swojego odwiecznego a tak często pogardzanego sąsiada — ludu wiejskiego. Jakkolwiek lud ten jest obcy ziemianom klasowo, to jednak w dobie obecnych przewrotów społecznych i ustrojowych, w obliczu likwidacji ziemiaństwa jako klasy, nie jest on tak daleki, jak to mogłoby się wydawać. W każdym razie jest znacznie bliższy niż przybysze. By przekonać się o tem, wystarczy tylko przypomnieć prawdziwą, nie stosowaną historję.

Ziemiaństwo naszego kraju znalazło się na takim rozdrożu, kiedy potrzebuje sojusznika, by utrzymać się na powierzchni życia. Sojusznikiem tym może być lud, o ile ziemiaństwo zrozumie jego potrzeby, zrezygnuje z swojej niechęci do ruchów narodowościowych oraz dziedzicznej pogardy szlacheckiej względem szarego, zahukanego chłopca. Zrozumienie obecnych epokowych przeobrażeń społecznych, nieuniknionych jak śmierć, powinno ułatwić nawiązanie kontaktu z tym odwiecznym sąsiadem. Zwlekać z tem nie można, bo łatwo spóźnić się.

nie dotarłszy do Polski, wrócił z drogi. Teraz wyznaczono Kaspra z Kromieryża z prowincji rakuskiej. Uchodził za wroga Polaków i dlatego Litwini jego pragnęli mieć komisarzem.

„Kasper przybył do Krakowa po Wielkanocy (12 kwietnia) 1528, gdzie mu król dał 25 zł. Stąd udał się do Wilna, nie zabierając towarzysza Polaka... Rozpatrzywszy się w położeniu klasztorów litewskich, wysłuchawszy zdania braci litewskich i polskich, niezawodnie tych, co na Litwie przebywali, uznał widocznie, że niesposób tworzyć samodzielnej prowincji. Cztery konwenty litewskie liczyły 80—90 zakonników, w tem znaczny zastęp Polaków. Postanowił więc, że domy litewskie będą stanowić własny komisarjat, zamiast dotychczasowej kustodji. Komisarza wybiera prowincjał polski wraz z definitorami na kapitule prowincjalnej z czterech kandydatów, przedstawionych od delegacji klasztorów litewskich. Komisarz ten będzie miał pełnię władzy prowincjalskiej, do której prowincjał nie będzie się mieszał, corocznie zwizytuje swój komisarjat i odprawi kapitułę litewską. Przenosić braci litewskich do Polski wolno tylko na ich życzenie albo za zgodą kapituły litewskiej”.

Ponadto polscy Bernardyni mieli nadal wspomagać swych braci litewskich, przyjeżdżając do nich na zaproszenie lub według zwyczaju. Komisarz litewski uczestniczyć będzie w kapitule polskiej wraz ze swoim dyskretem, „delegatem kapituły litewskiej”. Postanowiono zapobiegać ewentualnemu przenoszeniu kosztowności z domów litewskich do polskich, no i przebaczone sobie nawzajem winy i urazy.

Tak klasztory Bernardynów litewskich pozostały wprawdzie w ramach prowincji polskiej, ale faktycznie uniezależniły się zupełnie od czynników polskich. Sprawę więc załatwiono kompromisowo. Oczywiście kwestja, czy bracia litewscy potrafiliby udźwignąć istnienie zupełnie samodzielnej prowincji, pozostała nadal otwartą.

Znamienne, że komisarz Kasper powoływał się w dokonanej zgodzie kilkakrotnie na zgodę króla i samych Polaków! Z drugiej strony wiemy, że gdzieindziej np. w Lublinie na kapitule generalnej Bernardyni byli nawet oburzeni na ugodę litewską. Jak Litwini—czy bracia, czy wielmoże—patrzyli na nią, dokładnie nie wiemy, można jednak przypuszczać, że bolało ich nie utworzenie osobnej prowincji litewskiej.

Dotyczy to, zresztą w znacznej mierze nietylko ziemian ale i inteligencji krajowej wogóle.

Na zakończenie powrócę do wspomnianego artykułu ś. p. Konstancji Skirmuntt, która między innymi pisze:

„Lud białoruski w najgłębszych pokładach swoich drzemie jeszcze, nieświadomy dotąd swej rzeczywistej indywidualności. Rozbudza ją komunizm, rosjanizm, polonizm. Rozbudza ją wreszcie—co najważniejsze — postęp czasów, który przez patriotów każdego narodu mówi mu, że jest sobą. Temu ostatniemu po wielu walkach przypadnie w końcu zwycięstwo, jako prawu przyrodzonemu. Czy wolno nam warstwie krajowej wykształconej ignorować *to prawo*, nie widzieć powszechnej po wielkiej wojnie fazy rozbudzenia się narodowości? Zamiast kierować, wychowywać tę, z którą przeżyliśmy wieki i z której w wielkiej mierze powstaaliśmy—czy wolno nam *zaprzeczać* jej istnienia, *krzywić rozwój jej naturalny*, lub *powtarzać o niej baśnie* jej i naszych przeciwników?”

Z nad świeżej mogiły ten wyjątkowy a śmiały głos brzmi niezwykle przekonująco i nabiera aktualności.

Al. S.

Nowe zakusy.

Ludność rolnicza ziem białorusko-litewskich nie zdążyła jeszcze zapomnieć (i zapomnieć tego nie potrafi) napływu osadników wojskowych i cywilnych na te ziemie w latach ubiegłych, gdy naraz znowu mamy alarmujące wieści o nowej fali przyszłów.

Jak podaje „Kurjer Wileński” z dn. 16 u. m., w warszawskich kołach społecznych (?) podnoszona jest kwestja osadzenia bezrobotnych na roli i to przede wszystkim na t. zw. kresach wschodnich.

Autor artykułu we wspomnianym dzienniku, nie wskazując na nikogo palcem, natomiast ostrożnie zasłaniając inicjatorów terminem małowiąącym „koła społeczne”—podaje jednak szczegóły tej nie-

fortunnej koncepcji. Świadczą one, że ma się tu do czynienia już z przemyślanym projektem określonych i wpływowych czynników. Może brakuje tylko, by panowie posłowie z BB zechcieli na posiedzeniu sejmowym posłusznie powstać ze swoich miejsc, a wieś nasza będzie miała nowe widowisko napływu dalekich gości na tereny, zagospodarowanie których jest nieziszczalnym marzeniem miejscowej małorolnej i bezrolnej ludności. Zresztą może to stać się i bez udziału Sejmu.

Jakże wygląda ten projekt?

„Projekt osadnictwa na ziemiach wschodnich przewiduje osadzenie osadników grupami po kilkanaście osób, w tym celu, żeby łatwiej mogli się ostać wobec nieprzychylnie usposobionej ludności miejscowej. Niezbędny przytem zapas ziemi ma być utworzony z gruntów państwowych, jakie ewentualnie mogą być otrzymane w drodze likwidacji należności skarbu Państwa na mocy rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 28.X.1933 r. Każdy osadnik otrzymałby działkę ziemi o przeciętnej wielkości około 12 ha. Na wzniesienie zabudowań gospodarczych i na zagospodarowanie na jedną osadę przewidywane jest około 5000 złotych. Wartość przydzielonej ziemi ma wynosić około 4000 zł. Razem koszt utworzenia nowej osady wynosiłby około 9000 zł., którą to sumę osadnicy spłaciliby w przeciągu kilkudziesięciu lat”.

W projekcie tym uderza przede wszystkim nowy nieznanym przedtem motyw: jest nim osadzenie bezrobotnych grupami, by „łatwiej mogli się ostać wobec niepomyślnie usposobionej ludności”. Czy umieszczanie osadników zwartą masą tę nieprzychylności pomniejszy? Oczywiście nie. Raczej wprost przeciwnie — dawniejsze rozproszkowanie tej nieprzychylności po całym terenie, obecnie zastąpi ześrodkowanie jej do pewnych punktów, gdzie przekształci się w otwartą nienawiść, ponieważ przybysze będą gromadnie przeciwstawiać się i walczyć z miejscowym środowiskiem, tembardziej o ile zechcą być kulturtergerami i traktować od wieków osiedloną ludność, jako kolonialnych tubylców, co zresztą i w dotychczasowej praktyce jest zjawiskiem częstym.

By uzyskać zatwierdzenie ugody litewskiej pojechał w r. 1529 na kapitułę generalną do Parmy o. Łukasz z Kowna. Tu spotkał się z ogromnym sprzeciwem ze strony braci polskich, tak, że nietylko zgody na odrębną prowincję nie otrzymał, lecz za ledwie uniknął więzienia! „Ugodę Kaspra zmieniono w tem, co miała dotkliwego dla Polaków”. Komisarz litewski miał faktycznie podlegać prowincjałowi polskiemu i mógł osobiście wizytować konwenty litewskie. Sprawcami tej zmiany byli liczni delegaci konwentów polskich. Jeszcze jeden przykład namacalny, że nawet w tej dziedzinie rozstrzyga często tylko siła. „Zwycięstwo polskie więc okazało się pełne i nie trudno wyobrazić sobie zadowolenie, z jakim Polacy wracali z Parmy”. Istotnie!

„Wkrótce atoli okazało się, że sukces ten miał tylko moralne znaczenie. Nastąpiła bowiem znowu interwencja króla. Zygmunt wysłał pisma do świeżo obranego generała Pawła Pisotti z Parmy, do kardynała protektora, do prokuratora Kurji, żądając bardzo usilnie wyodrębnienia Litwy i przedłożenia sprawy papieżowi. Pisma te wysłał jeszcze 22 sierpnia 1529 r. Wobec tych nalegań i wyraźnej woli papieża, generał (Bernardynów) ustąpił. Dn. 25 sty-

cznia 1530 r. wydał polecenie utworzenia nowej prowincji”.

Wyraźnie jednak niezadowolony z Litwinów, przeprowadzenie powyższego powierzył Polakowi, prowincjałowi polskiemu Komorowskiemu (1539—32). Wiosną Komorowski udał się z socjuszem do Wilna. Miał on glejt od króla i mandat do Gasztolda. Podziału prowincji i wyboru zarządu dokonał na kapitule 26 maja 1530 r. „Chociaż dekret papieski wyraźnie stanowił, że tylko Litwin może być prowincjałem, kapituła nie znalazła nikogo odpowiedniego. Ostatecznie głosy się zjednoczyły na Gotarda z Siemięcina, Polaka. Początkowo nie chciał przyjąć wyboru, ale jednak dał się nakłonić. Definitorem obrano czterech Litwinów. Komorowski potwierdził ten wybór”. Razem z nim odjechali do Polski ci, co nie chcieli pozostać w Litwie. „O zawziętości umysłów świadczy, że kiedy w dwa tygodnie później spłonęła część budowy, przypisywano to braciom polskim, którzy wówczas już byli w Lublinie”. Była to plotka, która w większym mieście łatwo się wylega wśród gawiedzi.

„Urządzenie nowej prowincji litewskiej miało narazie obowiązywać przez dwa lata do najbliższej

Nie chodzi więc autorom projektu tyle o względy zatrudnienia bezrobotnych, o usuwanie trudności ekonomicznych w państwie, ile o ekspansję na wschód i eksterminację ludności, która nie mając możliwości emigrowania i zatrudnienia w przemyśle, dusi się na wąskich paskach roli w niesłychanej nędzy. Chęć osiedlania grupowego bezrobotnych wskazuje jeszcze na jeden bardzo charakterystyczny moment: w Warszawie zrozumiano nareszcie jak mylne były poprzednie rachuby na „misyjną” działalność osadników. Życie potwierdziło w całej pełni, że osadnicy u nas nie mogą niczego nauczyć ludność miejscową, mogą natomiast wielu rzeczy nauczyć się od niej. Przekonano się tam nareszcie, z licznych dziś faktów, że osadnicy nietylko nie są w stanie spolszczyć ludność białoruską, litewską czy ukraińską, ale, o dziwo, sami wynarodowiają się w obcym otoczeniu. Bierna masa ludowa, bez jakichkolwiek zamiarów agresywnych zdolna jednak, jak się okazało, wchłonąć w swój organizm element rozproszony a zbliżony klasowo i kulturalnie w odróżnieniu od obszarników, którzy utworzyli niegdyś całkiem izolowane, zamknięte w sobie społeczeństwo.

Osiedlanie grupowe—to przyznanie się do klęski, to zmiana taktyki, natarcie gromadne zamiast dawnej tyraljerki, jednak zawsze to jest ofenzywa, tem niebezpieczniejsza, że stosowana po wypróbowaniu innych metod.

Tak pokrótce wygląda przez autora przemierzana polityczna strona zagadnienia. Co się tyczy strony gospodarczej, która nawiasem mówiąc, nie może być ściśle oddzielona od politycznej, to tu spotykamy ciekawą tabelkę, mówiącą wyraźnie, że wbrew ogólnie panującej opinii o większej intensywności gospodarczej rolnika polskiego, okazuje się, że ziemia osadnika nie dała większych plonów, niż to widzimy u rolnika miejscowego. Źródła statystyczne, na które powołuje się autor artykułu, pochodzą od osobistości dalekich od nieprzychylnego stanowiska względem idei osadnictwa i dlatego klęskę i na tym odcinku należy podkreślić z osobliwym naciskiem.

Gdyby ten nowy nonsensowny projekt został

zrealizowany, możnaby sobie wyobrazić, co by się działo na wsi naszej. Część bezrobotnych z polskich ośrodków przemysłowych otrzymałaby na warunkach bardzo dogodnych ziemie tuż z pod nosa włościan miejscowych, plus 5000 na zagospodarowanie. Robotnik miejski, nie przystosowany do życia, na roli, i nie mający bardzo często pojęcia o jej uprawie, miałby oczywiście satysfakcję roztrwonienia otrzymanej sumy w szybkim tempie. Pozostałaby mu ucieczka napowrót do miasta, by zająć miejsce w kolejce przed urzędem pośrednictwa pracy. W ten sposób zamiast zwalczania bezrobocia mielibyśmy jego pogłębienie, zaostrenie antagonizmów na naszej wsi, zatamowanie nabywania gruntów przez ludność miejscową i naogół dezorganizację życia gospodarczego, nie mówiąc już o tem, jakby na takim rozwiązaniu kwestji wyszedł skarb państwa.

Zagadnienie bezrobocia jest dziś zagadnieniem o skali światowej. Nikomu nie może być obojętny los ludzi przymierających głodem. Koncepcja przenoszenia ich na rolę nie jest czemś nowem. Nie od dziś głowią się nad tem Niemcy hitlerowskie, gdzie bezrobotni stanowią znaczny odsetek ludności. Wszędzie niemal istnieje tendencja likwidacji większej własności ziemskiej i na tej drodze jest do pomyslenia tworzenie działek dla bezrobotnych, którzy jeszcze nie zerwali kontaktu z wsią i potrafiliby jako tako gospodarzyć na roli.

Ale jeżeli w Warszawie, Łodzi lub innym ośrodkom przemysłowym w Polsce daje się we znaki nędza bezrobotnych, ich utrzymanie na koszt społeczeństwa, nie znaczy to jednak, że na ziemiach litewsko-białoruskich należy szukać rzekomo niewykorzystanych terenów z krzywdą niewątpliwą ludności miejscowej.

Fiasko polityki osadnictwa z czasów nie tak dawnych, powinno, zdawałoby się, powstrzymać czyniki rządzące i ustawodawcze od popełniania starych błędów. Ale w naszych czasach, kiedy kwitnie zamiłowanie do najbardziej ryzykownego eksperymentowania, wszystkiego można się spodziewać.

Autochton.

kongregacji generalnej, zwołanej do Messyny na r. 1532. Prowincjał litewski Gotard na nią wysłał pismo, sam więc nie pojechał, co się tłumaczy wiekiem, ale chyba posłał kogoś z litewskiej prowincji”.

„Prowincja litewska przetrwała lat 40 okrągło, do r. 1570—71. Wiadomości o niej posiadamy niestety bardzo skąpe, a pochodzą prawie bez wyjątku z polskich źródeł. Są to drobne zapiski, pozwalające zaledwie na bardzo ogólnikowy obraz o zamglonych konturach.

Nie znamy nawet, poza pierwszym i ostatnim— imion prowincjałów litewskich. Nowa prowincja, z cismontańskich 32-ga, była chyba najmniejsza ze wszystkich, bo liczyła tylko cztery konwenty. Zastęp braci mógł wynosić ok. 60... Obiecywali też wielmoże litewscy, że założą 12 dalszych. Fundacja ta stanowiła troskę Gotarda i jego najbliższych następców... Pomimo to w prowincji litewskiej żaden nowy konwent nie powstał. Czy obietnice panów litewskich były nieszczerze, trudno powiedzieć. Zresztą niezadługo przewrót religijny zniweczył wszelkie widoki w tej mierze... Świadczy o tem, że nie wykonano fundacji grodzieńskiej, której dokument fun-

dacyjny spoczywał w archiwum konwentu wileńskiego”.

R. 1529 na gwardjaństwie wileńskim widzimy o. Leona, a obok niego braci Antoniego Litwina i Grzegorza Wojnarowicza, który też był *gente Lituanus*. Kaznodzieją był Sebastjan Lwowczyk. „Tymczasem Litwą wstrząsała zawierucha nowowiercza. Wiadomo, że w Wilnie nowa wiara rozpowszechniała się nader szybko, tak samo wogóle na Litwie”. Fakt, że w Wilnie w r. 1550 u św. Anny, a więc tuż obok tak licznego konwentu, niezwykle śmiało kazał z ambony predykant luterański Jan Winkler, świadczy, że Bernardyni wileńscy okazali się poprostu zbyt słabi wobec nowinkarzy religijnych i mieli zbyt mało wpływu na bractwo św. Anny, czyli kolonję Niemców katolików w Wilnie.

(Dok. n.).

Opinia litewska wobec porozumienia polsko-niemieckiego.

Jak należało oczekiwać, pakt o nieagresji pomiędzy Polską a Niemcami wywołał liczne komentarze w prasie litewskiej. W ocenie jednakże tego faktu poszczególne pisma różnią się ze sobą znacznie. Najbardziej miarodajne dla poglądów kierowniczych sfer w polityce Litwy stanowisko półurzędowego „Lietuv. Aidas” cechuje dyplomatyczna poprawność i życzliwa ojędność.

„15 lat, jakie upłynęły po zakończeniu wojny światowej wypełnione były ciężką walką o pokój. Główną rolę w tej akcji pokojowej odegrała Liga Narodów. Jedną z największych trosk Ligi Narodów był problem rozbrojenia. Należyte rozstrzygnięcie tego problemu stanowiłoby dla Europy najpewniejszą gwarancję pokoju. Obok wysiłków Ligi Narodów wymienić również należy wysiłki poszczególnych państw, które zawarły między sobą cały szereg paktów o nieagresji. Pakty te zostały obecnie uzupełnione przez porozumienie polsko-niemieckie, które ze względu na dotychczasowe stosunki polsko-niemieckie stanowi największą powojenną sensację polityczną.

Niemcy podpisując porozumienie z Polską, niewątpliwie uczyniły poważne ustępstwo. Powstaje pytanie, dlaczego Hitler w swej polityce dokonał tak nagłego zwrotu? Należy się domyślać, że główną przyczyną tego jest wysuwane od pewnego czasu przez Niemcy energiczne żądanie równouprawnienia. Porozumienie polsko-niemieckie podnosi prestige Niemiec na konferencji rozbrojeniowej i zwiększa perspektywy uzyskania równouprawnienia.

Jak porozumienie polsko-niemieckie oceniać mają państwa bałtyckie, a zwłaszcza Litwa, będąca najbliższą sąsiadką Niemiec? Litwa, podobnie zresztą, jak inne państwa bałtyckie, może oceniać porozumienie polsko-niemieckie jedynie dodatnio. Pakt polsko-niemiecki jest ważny dla pokoju całej Europy. Nawet prasa niemiecka, oceniając pakt, podkreśla, że nie jest skierowany przeciwko żadnemu innemu państwu. Jest to zresztą rzeczą całkiem naturalną.

Hitler i inni przywódcy niemieccy niejednokrotnie oświadczały, że nie ma w świecie problemów, dla którychby wypadło znowu wszczynać wojnę. O ile przywódcy niemieccy, zawierając pakt z Polską, pragnęli swe słowa przypieczętować czynami, posunięcie to może wywołać w małych narodach jedynie sympatię. Litwa szczególnie ocenia eliminowanie brutalnej pięści ze stosunków międzynarodowych. Litwa przeżywała bowiem bolesne doświadczenia przeszłości. Litwę cieszy każdy sukces pokoju, który może wzmocnić w narodach Europy Wschodniej wzajemne zaufanie i dobre sąsiedzkie współzycie”.

Opozycyjne „Liet. Žinios” natomiast zapatrują się na pakt polsko-niemiecki wręcz odmiennie, widząc w nim etap, ułatwiający Niemcom ich dążenia do ekspansji w kierunku poł. wschodnim.

„Pakt polsko-niemiecki nie jest niczem więcej, jak tylko odłożeniem zaognienia bieżących zagadnień na przyszłość. Wyłania się pytanie, w jakim celu to uczyniono. Przypomnieć należy, że latem r. ub. Francji udało się otoczyć i izolować Niemcy. O ile przeto obecnie Niemcom się udało usunąć Polskę z wytworzonego przez Francję antyniemieckiego frontu, to pakt polsko-niemiecki jest niemieckim sukcesem. Niemcy w ten sposób, przynajmniej w części, zabezpieczają się przed opasującym ich łańcuchem. Sukces niemiecki jest tem efektywniejszy, że stanowi jednocześnie cios dla Francji która traci czynne poparcie swego dawnego satelity.

Z powyższego punktu widzenia pakt polsko-niemiecki jest dla pokoju europejskiego szkodliwy. Osłabia on siły, które troszczyły się o ten pokój. Polska, podpisując pakt z Niemcami, potwierdziła więc jedynie dawne o niej mniemanie, że nie przestaje ona być źródłem niebezpieczeństw dla pokoju.

Jest to tylko jedna strona medalu. Nie należy wątpić, że, gdyby Francja tak się zapatrywała na kwestję, jak zapatruje się Polska, to zawarłaby z Niemcami

jeszcze „mocniejszy” pakt o nieagresji. Oznaczałoby to jednak wypuszczenie lwa z jaskini do stada owiec. Polska, podpisując pakt z Niemcami otwiera głodnemu lwu drzwi jaskini przedewszystkiem na południe. Z Austrią bowiem takiego paktu Niemcy nie podpiszą. W stosunku do Austrii prowadzą Niemcy z całą intensywnością agitację, przewyższając w naruszeniu tradycji i etyki międzynarodowej, nawet Komintern. Tem też można tłumaczyć podpisanie przez Niemcy paktu z Polską. Austrija, Rumunia z Hohenzollernami i finansowanym, podobnie, jak w Austrii faszyzmem — oto najważniejszy i niemal jedyny przedmiot uwagi hitlerowskich Niemiec, jeżeli nie liczyć furtki przez Kłajpedę do krajów bałtyckich i możliwych obietnic polskich co do Ukrainy kosztem Sowieców.

Hitlerowskie Niemcy dzięki paktowi z Polską uzyskują obecnie, przynajmniej w części, wolniejsze ręce w swym „Drang nach Süden” — ku Austrii i Rumunii, o których hitlerowcy powiadają, że się niewątpliwie w nich rozpanoszą.

Tak można sobie wyobrażać sens polsko-niemieckiego paktu o nieagresji. W takich warunkach pakt ten ocenić należy negatywnie zarówno ze względu na państwa Ligi Narodów, jak na organizowanie pokoju, jak wreszcie na Litwę”.

Drugi organ opozycyjny „Rytas” przemawia mniej więcej w ten sam sposób, stwierdzając jednakże, w odróżnieniu od „Liet. Žinios”, przedewszystkiem sukces dyplomacji polskiej, która zerwała z dotychczasową zależnością od polityki francuskiej. Zwraca również „Rytas” większą uwagę na konsekwencje porozumienia polsko-niemieckiego dla państw bałtyckich.

„Jeżeli chodzi o państwa bałtyckie, Litwę, Łotwę i Estonję, to znalazły się one obecnie pomiędzy młotem a kowadłem. Zwłaszcza staje się trudna sytuacja polityczna Litwy. Nie utrzymuje ona bowiem żadnych stosunków z Polską, zaś stosunki z Niemcami są bardzo złe. W ten sposób Litwa ma przeciwko sobie Polskę i Niemcy. W wyniku porozumienia polsko-niemieckiego Polska i Niemcy mają wolniejsze ręce w swych stosunkach z Litwą. Polska i Niemcy mogą nawet niekiedy skoordynować swą akcję przeciwko Litwie. Sowiety stanowią dziś dla Litwy słabe poparcie, zwłaszcza, że trocki sowieckie na Dalekim Wschodzie i w Europie zmuszają Moskwę do niekomplikowania swych stosunków z sąsiadami.

Sytuacja Litwy jest obecnie gorsza, niż przed pół rokiem. Te pół roku nie zostało wyzyskane na akcję polityczną. Sytuacja Litwy nie jest jednak jeszcze taka, by nie było w niej, przynajmniej w pewnym stopniu, znośnego dla Litwy wyjścia. Oczywiście wyjście to samo przez się bynajmniej się nie nastarczy”.

Nad temi konsekwencjami rozwodzi się również „Naujoji Romuva”, reprezentująca opinię rządzącego stronnictwa „tautininków”. Pismo jednakże nie widzi potrzeby jakichkolwiek zmian w dotychczasowym kierunku litewskiej polityki zagranicznej i nawołuje jedynie do wzmocnienia sił dla walki na dwa fronty.

„Zawarcie polsko-niemieckiego porozumienia było krokiem wielce rozważnym ze względu na interesy zarówno obu państw, jak i całej ludzkości, jako utrwalające pokój. Okoliczność zaś, że krok taki był możliwy jedynie dzięki panującym w obu państwach ustrojowi dyktatorskiemu i popularności ich dyktatorów, wskazuje, że każdy ustrój polityczny obok złych, ma też swe dobre strony.

Pakt polsko-niemiecki ma za zadanie zyskanie przez oba państwa na czasie dla lepszego przygotowania się do przyszłych czynów. Polska uzyskany okres wykorzysta na utrwalenie swej władzy na odzyskanych ziemiach. Niemcy — na odebranie zagłębia Saary, przyłączenie Austrii i wzmocnienie Prus Wschodnich. Niemcy jednak żadnej gwarancji, że pakt potrwa przez cały przewidziany w nim okres. Do zerwania go może się przyczynić pierwsza lepsza okoliczność, możliwość, których tak wiele dostarcza obecna sytuacja Europy.

Dla Litwy porozumienie polsko-niemieckie, odsuwające niebezpieczeństwo wojny, jest zjawiskiem pożądanym. Należy oczekiwać, że przyjdzie po niem gwarancja niepodległości państw bałtyckich, a przynajmniej Litwy, przez tych lub innych sąsiadów, czego domaga się europejska równowaga polityczna. Litwa gwarancję taką przyjąłaby chętnie, z warunkiem jednak, by nie była ona połączona z jakimiś skrzepowaniami.

Zwiastowana jednak przez pakt polsko-niemiecki chwila wytchnienia nakłada zarazem na Litwę szczególne obowiązki i w jeszcze jaśniejszym świetle stawia jej tragiczny los, skazujący ją na walkę narodowościową i kulturalną na dwóch frontach przeciw silniejszym sąsiadom. Niema możliwości porozumienia z Polską ani z Niemcami co do złagodzenia warunków tej walki, nie mówiąc już o rozejmie. Zarówno na terenie Kraju Kłajpedzkiego, jak w Wileńszczyźnie, akcja winna ulec intensyfikacji”.

Głosy innych pism, jak „Trimitas” (organu szaulisów), bezpartyjnego „Musu Rytojus” i t. d. nie zawierają nowych myśli ani oryginalnych akcentów, nie wykazując, na równi z wyżej przytoczonymi, większego zaniepokojenia faktem porozumienia polsko-niemieckiego i nie dopatrując się w niem powodów do alarmu, co jest dowodem, że opinia litewska na ogół jest przekonana, iż ostrze jego zwraca się w innym kierunku. Co prawda, cytowane poglądy pochodzą z pierwszych dni po otrzymaniu wiadomości o zawartym pakcie. Były one wypowiedziane pod świeżym wrażeniem. W następnych artykułach nie znać już tej pewności siebie. Przebija z nich ton pewnego zwątpienia i wyczekiwania. *Quis scit*, co za górą?

Za co?

W tych dniach nadeszła z Rzymu do Wilna wiadomość o mianowaniu b. prezesa Litwy Środkowej i b. ministra Aleksandra Meysztowicza tajnym szambelanem Jego Świątobliwości. Można rozmaicie zapatrywać się na takie tytuły, lecz niezależnie od tego wydaje się nam w danym wypadku wskazanem zdać sobie sprawę z tego, *za co* b. wielkorządca Litwy Środkowej i paroletni kierownik ministerstwa sprawiedliwości Polski pomajowej otrzymał powyższe odznaczenie papieskie.

Istotnie, *za co?*

Podobno za czasów rosyjskich dzisiejszy szambelan tajny występował publicznie w „sprawach katolickich”. Wiemy jednak, że wówczas obrona katolicyzmu miała na widoku bardziej interesy narodowe, niż kościelne. Jakoby też często zabierał głos, publikując wtedy broszury, poruszające zagadnienia katolickie. Tytuł więc do nagrody z tego powodu mógł być aktualny przed wojną. Jednak p. Meysztowicz wtedy szambelanem papieskim nie został, chociaż bp. Ropp wyjednał wtedy szambelanję papieską dla pp. Bol. Skirmuntta, J. Kamińskiego, J. Bispinga i in. Ta okoliczność każe nam szukać przyczyny wyróżnienia p. Meysztowicza już w dobie powojennej. Gdzież te zasługi?

W grę tu wchodzić tylko mogą dwa okresy: gdy los powierzył mu raz prezesurę w rządzie Litwy Środkowej, drugi raz — resort ministerstwa sprawiedliwości w Polsce.

Na stanowisku prezesa Komisji Rządzącej Litwy Środkowej, p. Meysztowicz zasłynął jako sprawca faktyczny a odpowiedzialny wystąpienia z Wilna 33 Litwinów i Białorusinów, do których też należał obecny biskup koszedarski, podówczas kanonik gremjalny kapituły wileńskiej, ks. Józef Kuchta. Zgodnie z ustalonym zwyczajem naszła policja w nocy dom kapitulny, gdzie zamieszkiwał kanonik Kuchta, i mimo długiej a drobiazgowej rewizji *nic literalnie* nie znalazła, co by mogło skompromitować choć trochę wybitnego kapłana Litwina. Taktowny, spokojny, pracowity a usłużny ks. Kuchta na wszystkich stanowiskach potrafił zjednać sobie sympatje ludności polskiej i litewskiej bez różnicy. Był to zresztą żaden polityk. Nie miał po temu ani zdolności, ani zamiłowania, ani sposobności. Był jednak gorącym patriotą litewskim. I tego wystarczyło.

Deportacja kan. Kuchty z Wilna nic a nic nie wpłynęła na załagodzenie zatargu polsko-litewskiego, o czym rychło wielkorządca Litwy Środkowej mógł się przekonać. Zaszkoziła tylko, jęcząc i tak zaognione stosunki. To jest jedna „zasługa” p. Meysztowicza, która go widać predysponowała do odznaczenia papieskiego.

O wiele większą i donioślejszą jest *druga*, którą zdobył p. Meysztowicz w r. 1927. Tu nam wypadnie zatrzymać się odrobinę dłużej.

Odtwórzmy sytuację ówczesną.

Jest r. 1927. P. Meysztowicz zajmuje fotel ministra sprawiedliwości. W pewnych dniach października p. minister bawi urzędownie w Wilnie kilka dni i konferuje z władzami sądowymi. Na parę dni przedtem prasa wileńska — nie wiedzieć skąd — puściła sensacyjną wiadomość (znacznie później zdemontowaną) o uwięzieniu w Litwie w koncentracyjnym obozie w Worniach... 28 polskich nauczycieli, nikt jednak w Wilnie nie łączył, nawet w myślach, obu faktów, stojących atoli w ścisłej zależności od siebie. Właśnie nazajutrz, lub najwyżej we dwa dni po wyjeździe min. Meysztowicza z Wilna, rozpoczęła się rozgłośna akcja retorsyjna. Prokuratura wileńska zarządziła aresztowanie, na terenie od Grodna do Hoduciszek 17 księży Litwinów i zamknięcie ich w więzieniu!

Podpisany i już ratyfikowany przez Polskę smutnej pamięci konkordat Grąbskiego z Watykanem okazał się najwidoczniej w tej chwili *bezwartościowym świstkiem papieru*. Ordynarjat arcybiskupi twierdzi po dzień dzisiejszy, że Bogu ducha tu winien i został zupełnie zaskoczony zarządzeniem władz. Areszty odbywały się wśród głuchej nocy. Policja w niejednym wypadku nie pofatygowała się nawet, by stanąć u drzwi swych ofiar z dozorcą domowym, który zwykle w takich razach melduje zaniepokojonym mieszkańcom o przybyciu „gości”. Wiadomy nam jest fakt wejścia policji na podwórze kościelne przez uczynioną w ogrodzeniu szparę, lub przez płot.

Po długiej, złośliwej rewizji, trwającej noc całą, stróże bezpieczeństwa, którzy wybrali noc, by *nie gorszyć maluczkich niesamowitą sceną rewizji na plebanjach*, odwozili zaaresztowanych księży do więzienia rano, gdy już był biały dzień, a ludność katolicka akurat śpieszyła lub wracała z wczesnych mszy św. W liczbie aresztowanych byli ludzie chorzy i starzy...

Jakby na urągawisko dla uwięzionych, wizycie arcybiskupa na Łukiszkach i rozpytywaniu więźniów o rzekomej winie, asystowali z jednej strony ówczesny naczelnik więzienia łukiskiego, z drugiej syn ministra ks. dr. W. Meysztowicz. S. p. ks. prof. Kraujalis, opowiadał potem ze łzami, że tę chwilę uważał za *najbardziej upokarzającą w życiu*.

Czyż potrzeba dodawać, że prokuratura nie znalazła dosłownie nic, coby upoważniało ją do wytoczenia *komukolwiek* z uwięzionych *jakiegokolwiek* procesu! Deportowanego do Litwy kapłana musiano wrócić. Wprawdzie próbowano wnet po aresztach podać w prasie wręcz kłamliwe informacje o przebiegu i wynikach rewizji, rychło jednak zaniechano bałamucenia ogółu.

Jeszcze szczegół. Aresztów dokonywano nie tylko na plebanjach i w domu kapitulnym, lecz też w gmachu seminarjum duchownego i w domu wikariuszów katedralnych, a więc tam, gdzie w sposób szczególny ordynariat zwykł dotychczas rozstrząsać swą opiekę tak czynną, jak moralną. Seminarjum diecezjalne, to żrenica oka biskupiego, a wikariat katedralny, to siedziba stróżów ładu liturgicznego w katedrze biskupiej. Wtedy jednak widać zapomniano o tych wszystkich subtelnościach i znikąd nie rozległy się głośne protesty wobec jawnego zlekceważenia zawarowanej w konkordacie nawet przez endecję wolności Kościoła.

Jednych więźniów wypuszczono po tygodniu, drugich po miesiącu, innych zaś trzymano w zamknięciu jeszcze dłużej. Zresztą nie chodzi tu o ich cierpienia, głównie moralne, za które niema i być nie może odszkodowań.

Tak oto wyglądają „zasługi” min. Meysztowicza wobec Kościoła katolickiego w czasach powojennych.

Czyż za to się nagradza tajną szambelanją?! Jednak widocznie czasem i tak bywa.

Na zdrowie.

Mógł Bismarck otrzymać wysoki papieski order Chrystusa, może i min. Meysztowicz przywdziać *spada e cappa* tajnego szambelana. Splendoru jednak dworowi papieskiemu ta nominacja napewno nie przysporzy.

Laik.

Francuska publikacja o Albertynie*).

D. 10.IV.1932 w Warszawie dobrane audytorjum wysłuchało francuskiego odczytu na temat *Neounja i jej metody*, gdzie przedstawiono jej stronę tak doktrynalną, jak faktyczną. Konferencję tę wygłosił ówczesny mistrz nowicjusów w Albertynie, a dziś wice-rektor *Russicum* w Rzymie, wybitny jezuita francuski o. Filip de Régis, w końcu ubiegłego lata wydalony pod jakimś formalnym pretekstem, z granic Rzeczypospolitej. Odczyt ten ukazał się następnie w druku.

Autor zaczyna od przytoczenia słów pap. Piusa XI o Albertynie. Gdy ktoś na posłuchaniu wy-

mienił raz tę miejscowość, Ojciec ś. wnet się ożywił i zawołał: *Parfaitement! Je connais très bien Albertyn, je vois ou c'est*. Zarzucona wśród lasów sosnowych ta mała miejscina wrażyła się dobrze w pamięci Papieża.

Przeznaczona dla katolików m. Warszawy i częściowo dla zagranicy, konferencja, wzgl. broszura, zawiera sporo szczegółów dobrze znanych dla nas skądinąd. Prelegent przybył do Rzeczypospolitej z sojuszniczej Francji skierowany do Albertyna woła swych przełożonych, i bynajmniej nie uważa Rzeczypospolitej za *dziką wyspę*. Nauczył się mówić i pisać wcale dobrze po polsku i szczerze pragnął przyjąć nawet obywatelstwo polskie, o co przez czas dłuższy się ubiegał. Nie neguje on wcale zawilosci problemu unjonistycznego, lecz też nie uważa go za rzecz nie do zrozumienia i rozstrzygnięcia. Nigdy w niczem o. de Régis nie wykazał ani polonofobji, ani jakiegoś rusofilstwa, o które tak często a ryczałowo pomawia opinja polska kapłanów francuskich, belgijskich, holenderskich i in. Nic to mu jednak osobiście nie pomogło. Wyciągnięta ręka zakonnika francuskiego do porozumienia z *siostrzaną* Polską nietylko zawisa w powietrzu, lecz czynnie odtracona została. Było to akurat w chwili iście chorobliwego zaciężnienia się zelantów państwowości polskiej kłamiwą do gruntu deubnerjadą, która polegała na tem, że w Warszawie z *igły* (rzymskiej) *zrobiono widły* (polskie). Była ona bowiem dla wielu zbyt już gorąco upragnioną rzeczą, by rozmaici nasi „twórcy rzeczywistości” nie pokusili się o stworzenie potrzebnych pozorów. Gdy jednemu z naprawdę poważnych przedstawicieli obozu rządowego wskazywałem kręte drogi, któremi przeszwarzowano sensacyjną wiadomość, nie znalazł lepszej odpowiedzi, jak ta: *Czyż nie mógł jednak Deubner fizycznie wykraść tajnych papierów z archiwum Komisji pro Russia?* — jakby nie istniała znana zasada logiczna, że *a posse ad esse non valet illatio*. Lecz kogoż dziś obchodzą reguły logiki?

Wyrośli w wysokiej atmosferze katolicyzmu francuskiego, gdzie albo się jest katolikiem, albo nie, o. de Régis niewątpliwie odczuwał musiał, że trafił do mocno odmiennej pod względem zrozumienia rudymentów katolicyzmu sfery. Umiał jednak zawsze zachować spokój, równowagę i umiarkowanie w sądach, równie dalekim pozostając od wyolbrzymiania dokonanych przez Albertyn prac (*Albertyn! les Jésuites!*), jak też pomniejszania jego zasług wobec napotykaných trudności. Z wielką cierpliwością nawet tam, gdzie według słów poety rzymskiego: *Indignatio facit versum*, o. de Régis wykazuje zasadniczo *kollektywny* charakter akcji unjonistycznej, będącej nie czyjąś prywatną a osobistą zachcianką lub ambicją, lecz *naturalną* emanacją doktryny katolickiej. Z kolei podejmuje się on zadania *tak* niewdzięcznego, jak mówienie do polskiego audytorjum niezależnie od miejsca o szczodrej uniwersalności Kościoła, sięgającej wszystkich dusz, wszystkich narodów, wszystkich form modlitwy..

O. de Régis mówi, że posługiwanie się terminem *Union nouvelle, methodes nouvelles, neo-unionisme* i t. p. nie oznacza jeszcze jakiegoś przeciwstawiania się owym tradycjom katolickim. Na to trzeba odpowiedzieć: *tak*, jeśli chodzi o stronę dogmatyczną, *nie*, jeśli chodzi o stronę techniczną przeprowadzania uchwał Synodu Brzeskiego i ciężące na nim serwituty polityczne. *Katolicyzm polski chował się*.

* P. de Régis S. J. *La „Nouvelle Union” et ses methodes*. (Chez les Jésuites du Rite Gréco-Slave). Lyon. 1932. str. 19.

w środowisku tak wybitnie a nawskroś nacjonalistycznym, że nawet nieprzeciętne dusze polskie nie rozumieją zgoła piękna katolicyzmu Kościoła. Tymczasem po wszystkie wieki tradycją Kościoła było, jak się wyraził raz Pius XI, *unir sans unifier, coordonner sans absorber, grouper sans confondre*. Właśnie o to rozbijają się i dyskusja unijna z jej przeciwnikami i akcja unijna u nas. Przeciwnemu Polakowi wydaje się, jako rzecz *piarum aurium offensiva*, uświęcone od czasów św. św. Cyryla i Metodego używanie w liturgji wschodniej mowy cerkiewno-słowiańskiej, z typowemi dłań *Hospodi pomiluj* i *Podaj Hospodi*. Jest to też oczywiście pozostałość długiej niewoli i daleki refleks brutalnej kasaty Unji przez ces. Mikołaja I.

Dlatego o. de Régis cierpliwie wyklada czytelnikowi polskiemu A. B. C. jedynie prawdziwego katolicyzmu i opowiada, jak to zdarzało się jemu samemu nieraz słyszeć pod Słonimem z ust prawosławnego Białorusina: *Vous avez la foi polonaise... słuźnie dodając: Il serait impie et ridicule de vouloir mêler nos petites passions nationalistes à la grande question du salut des âmes et de l'instruction chrétienne...* Z góry więc nie wolno żadnego języka odrzucać w akcji unjonistycznej. Jeśliby gdzieś naprawdę znalazło się choć tysiąc *rodowitych* Polaków obrz. wsch., zaistniałaby tam samorzutnie i racja używania języka polskiego w nabożeństwie dodatkowo. *Tylko wtedy*, lecz żadną miarą nie dziś, gdy język polski nie ma w cerkwiach *żadnej* racji bytu ze względu na Ukraińców lub Białorusinów, tworzących przecie 95% wyznawców zjednoczonego obrz. wsch. u nas.

W jednym tylko miejscu trudno nam się zgodzić z autorem cennej broszury, rozumiemy jednak dobrze, że był tu zmuszony nieszczęsną akcją rewindykacyjną nazwać *nécessaire*. Lecz czyż można *jednocześnie* prowadzić dwie akcje—rewindykacyjną i unijną?!... Na *tymże* terenie i wśród *tychże* ludzi?!... Jasne.

To abecadło *sensus catholici* jednak nie znalazło należytego zrozumienia wśród audytorjum warszawskiego, które tworzyli ludzie inteligentni a dystyngowani, lecz typowi nacjonałiści, nad miarę często komplementowani z góry za swe wyolbrzymione zasługi w przeszłości i przeto zbyt zarozumiali, by do gruntu przetrwać podane im z szerszego świata *verba veritatis*.

Vigilans.

Niewczesne wystąpienie *)

W drugiej połowie roku ubiegłego ukazała się w Stanisławowie, nakładem Ukraińskiej Katolickiej Organizacji, oddawna zapowiadana i długo oczekiwana broszura tamecznego władcy obrz. gr.kat. dr. Grzegorza Chomyszyna, poświęcona problemowi ukraińskiemu, a napisana *dla duchownej i świeckiej inteligencji narodu ukraińskiego*. W międzyczasie przychodzi już znacznie szum, jaki powstał dokoła tej niesamowitej publikacji. Ułatwia to nieco jej omówienie.

*) Grygoryj Chomyszyn, Stanisławowski jepiskop. *Ukraińska problema*. Stanisławów 1933.

Trudno jednak ustosunkować się do pracy publicystycznej, nie zajmąwszy pewnego stanowiska do osoby jej autora. Nic tu nie pomogą zastrzeżenia, sam temat zażąda niejako wypowiedzenia się tak lub owak. Otóż oświadczamy na wstępie, że wśród posuchy u nas na charaktery integralne, bezwzględnie szczerze, ofiarnie mężne a surowo prostolinijne, charakter władcy Chomyszyna wybijają się korzystnie ponad inne. Biskup Stanisławowski obrz. g.-k., to zjawisko naprawdę rzadkie, wcale ciekawe, warte nawet osobnego studjum lub monografji. Winniśmy to przyznać, jeśli nawet nie podzielamy słuszności obranych przezeń kierunków myślenia i postępowania. Takim ludziom trudno milczeć. Wewnętrzna potrzeba pcha ich do wypowiedzenia się. Doznają tą drogą ulgi. Nie odmawiajmy tedy im prawa lub racji do wypowiedzenia się. Ostatecznie każdy z nas dąży do tegoż i czyni to jak może i umie.

Książeczka omawiana, to plon przemyśleń i obserwacji władcy Ch. w ciągu czterdziestu lat kapłaństwa a trzydziestu biskupstwa. Zatrzymamy się tylko na ważniejszych wywodach. Część pierwsza zatytułowana: *O destrukcyjnej pracy zboczonego nacjonalizmu*. Spotykamy tu nieraz przykłady tak często w kazaniach i rekolekcjach o zacięciu rygorystycznym *rozumowania* uproszczonego, które w czytelniku bardziej krytycznym budzi uzasadnione zastrzeżenia. Np. to, co autor sam nazywa przed chwilą *tylko nieznacznym odchyleniem, od zasad...*, działającym *tylko przez jakiś czas*, ma rychło u niego skutek maksymalny: *bierze już duszę w swe władanie i oddaje ją pod panowanie kłamstwa nacjonalizmu!* Jasna tu dysproporcja i logiczna i psychologiczna. Autor chciałby, żeby nacjonalizm ukraiński wyprowadzał swój naród tylko z wiary i miłości Boga i bliźniego... Wysokie te parantele jakoś nie wiążą się z żadnym nacjonalizmem, nie wyłączając nawet narodu wybranego w jego okresie palestyńskim...

Rychło jednak autor opuszcza wyżyny tego rozumowania zasadniczego i rozważa praktyczne ukladanie się stosunków wzajemnych między hierarchją gr.kat. a społeczeństwem ukraińskiem. Tu przewija się przed czytelnikiem długi, zbyt długi szereg przeróżnych, zawsze pełnych gorczy zarzutów i żalów do własnego społeczeństwa. Duży ich odsetek mógłby być z powodzeniem zamilczany. Wykazywać krok za krokiem to nasycenie gorczy, uważamy tu za rzecz zgoła zbędną. Niemniej niepotrzebnem jest wieszczenie katastrofy i spadającego zeń przekleństwa Chrystusowego (sic)... Ciężki pomysł.

Poszczególne nietakty obozu nacjonalistycznego autor rozważa zawsze według najpoważniejszych sprawdzianów zasadniczych. Nic dziwnego, że wyrok stałe zapada, opiewający *najwyższy* wymiar karnego osądu. Mając pretensję do zoperowania obolałych miejsc na ciele narodu ukraińskiego, duchowny publicysta zamiast posługiwać się chirurgicznym lancetem, ima się zbyt już często... noża kuchennego. Stąd szkodliwe dla organizmu krwawienie się i ropienie ran.

Władcy Ch. najwyraźniej zdradza całkiem bliskie pokrewieństwo z flagellantami. Pasjami lubi aplikować narodowi ukraińskiemu takie właśnie samobiczowanie. Niechby to już czynił, unikając jawności i rozgłosu. Ale nie! Czyni to jawnie a głośno, jakby chciał przywołać zewsząd ciekawych takiej egzekucji. Jest tu nawet coś ze starczego sadyzmu, coś też z ekshibicjonizmu. W każdym razie cała oma-

wiana broszura, to nic innego jeno produkt stanu wyraźnie patologicznego. Jesteśmy najmocniej przekonani, że władka Ch., po wydaniu „Zagadnienia ukraińskiego” i nie widząc stąd skutków pozytywnych, niewątpliwie zasiadł już w swym stanisławowskim pałacu przy ul. Lipowej do pisania na temat powyższy nowej broszury, w której obrzuci tym razem swój naród mocniejszemi o całą oktawę oburzenia epitetami. Tego mu nigdy dosyć nie będzie. *Autor insanabilis.*

Jadną z przyczyn, dla której autorowi nie sposób jest dogadać się z ukraińską świecką inteligencją, jest stary nałóg i chęć traktowania inteligentów świeckich niby *diaków* (lub organistów). Trzeba wprzód nauczyć się szanować ludzi inteligentnych, by móc pociągnąć ich do cerkwi i mieć w nich czasem jakąś tam pomoc w Akcji Katolickiej. *Dziś z zakrytji nie potrafimy już rządzić światem*, powiedział raz o. Fr. Mukermann T. J.

Nadwyraz przykre wrażenie odbiera czytelnik, gdy władka Ch. wypowiada swe *credo* cerkiewne, a więc swój negatywny stosunek do obrządku grekokatolickiego i przecenianie obrządku łacińskiego (wobec przykładów Meksyku, Hiszpanji i t. d.), windowanie stanu zakonnego na przesadnie wyimaginowane wyżyny (w Hiszpanji jeden mnich przypadał na czterdziestu kilku obywateli!!!) i t. d.).

Część druga nosi tytuł: *O konstrukcyjno zaobowawczą pracę*. Diagnozę niedomagań społeczeństwa ukraińskiego autor stawia nader pośpiesznie. Rozstrzyga tu łatwo sprawę, któraby musiała kosztować długiej a żmudnej pracy nawet naukowca. Punktem atoli szczytowym rozumowań władki Ch., zdaniem, w którym jest *cały*, jest miejsce następujące: *Naszem wielkiem nieszczęściem jest to, że przyjęliśmy wiarę ze Wschodu, a nie z Zachodu...* Ponieważ znacznie częściej się mówi i pisze o demoralizacji idącej zdołu, podkreślamy tu klasyczny przykład demoralizacji zgóry. Jeśli budzi w nas zawsze niesmak moralny, gdy widzimy znieważającego słownie noszonego przez się mundur oficera, gdy słyszymy poniżającego swój fach lekarza, adwokata, inżyniera lub nauczyciela, także uczucie głębokiego niesmaku odczuwamy, gdy *biskup diecezjalny Cerkwi grecko katolickiej* wyraża się publicznie w ten oto sposób o obrządku Jana Złoustego, Bazylego Wielkiego i Grzegorza Dialoga! Wobec tego, że Rzym dotychczas chyba ze względu na wysokie stanowisko i sędziwy wiek biskupa wyraźnie nie skarcił tak prowokacyjnego wystąpienia, można sobie wyobrazić, jaki zamęt straszliwy w rzeczach wiary i obyczajów wśród prostego ludu ukraińskiego muszą wnieść podobne enuncjacje. Czemże w porównaniu z tem są wszystkie szkody płynące z akcji demagogicznej-radykalnej?

Nic też nie można mieć przeciw rozumnej, uczciwej, spokojnej propagandzie w Galicji Wschodniej beżeństwa kleru. I owszem. Lecz narzucanie go forsownie, drogą poniżania kleru żonatego i przy pomocy argumentów godnych może dewotek i tercjarek, mało tu wróży dobrego. Uzasadnienie potrzeby celibatu winno być całkiem *współczesne*, naukowe, niczem nieubliżające ani godności sakramentu małżeństwa (więc ojcowstwa i macierzyństwa), ani też dostojności kobiety. Nie trzeba chyba dodawać, jak należy przytem unikać wszystkiego tego, co wytwarza w tej materji sytuację wprost farsowe lub operetkowe. Meksyk i Hiszpanja posiadają kler bez-

żenny, jednak nie uratowało to ich na naszych oczach od prześladowań Kościoła, tak, jak w XVI w. beżenność kleru w Niemczech, Anglii, Skandynawji i gdzieindziej nie zapobiegła tam deformacji religijnej. Zresztą kler beżenny też ujawnia cały szereg tkwiących w nim podziałów, jakie z kobietą nic nie mają wspólnego. Autor o tym podziale prawi aż do znudzenia. W tem wrogiem względem kobiety nastawieniu antagonistów kleru żonatego pokutują jeszcze dziś dalekie echa i wpływy herezji z pierwszych wieków Kościoła, które w przeciwstawieniu do ducha, uważały materję za złą *in se...* Dla władki Chomyszyna zniesienie księzych małżeństw, to uniwersalny środek leczniczy na wszystkie niedomagania Cerkwi gr.-kat.

Wysoce niemiłe wrażenie sprawia, gdy władka Ch. niedwuznacznie przeciwstawia parokroć siebie i swoją działalność osobie i pracy metropolity Szeptyckiego. Dlatego dziwnie wygiąda z pod pióra autora broszury skarga na swe *osamotnienie i opuszczenie w starości*. Trudno. *Tu l'as voulu, Georges Dandin, tu l'as voulu.*

W miarę, jak lektura broszury omawianej posuwa się naprzód, staje się dla nas oczywiście, że mamy tu do czynienia ze złośliwym już staruszkim, który ongi był zapewne pełen sił umysłowych i miał gorący charakter, dziś jednak zgorzkniał.

Przytaczane przez autora przykłady nie przekonywują, np. mit o wielkiej ilości w społeczeństwie polskiem praktykującej inteligencji katolickiej, o wielkiej rzekomo ilości u Polaków powołań zakonnych i t. p. Są nawet i takie przykłady, które świadczą o złym smaku autora. Poprostu fatalne.

Na jakim poziomie stoją rozumowania powyższe, na takimże są i polityczne, któremi broszura się kończy. Mimo wszystkie zaprzeczenia, władka Chomyszyn uczynił jednak stronie polskiej *ofertę*, tylko że nie została ona przyjęta, chociaż komplementów jej nie szczędzono. I nie dziwimy się. Wszak czyniący ofertę stał i stoi po dziś dzień samotny i opuszczony. Przytem opinja polska nie chce nawet pogodzić się z samą nazwą *Ukraina* i *Ukraińcy*. Jak było zresztą do przewidzenia, broszura władki Ch. wyzyskana jednak została jako oręż *do zwalczania i osłabienia ruchu ukraińskiego*. Nie mógł przeoczyć tego zgóry i sam autor.

Broszurę kończy *Dodatek*, gdzie autor próbuje osłabić wrażenie niektórych swych zdań o klerze żonatym, atoli *bez skutku*. Zbyt wyraźne już myśli wypowiada, by mogło pozostać jeszcze miejsce dla odcieni. Zasłania się przytem powagą Ducha św. Ktoś na marginesie książki uczynił niepozabawiony dowcipu przypisek: *Duch św. oczywiście ma rację, władka Chomyszyn — nie.*

Dobrnęliśmy do końca.

Prawdy nigdy i nigdzie zamilczać nie trzeba, lecz tu *quid sit veritas?* Bynajmniej nie bierzemy za złe, jeśli biskup chłascze nacjonalizm wśród kleru swego. Byle tylko *równą* miarę stosował do wszystkich nacjonalizmów. Rozumiemy też potrzebę nieraz takich dwugłosów, gdy np. biskup ukraiński przywołuje do porządku nacjonalistów ukraińskich, a biskup polski to samo czyni względem księży endeków. Jednak w Galicji czegoś podobnego jednak nie widzimy, dotychczas bowiem nie ował się *żaden* głos biskupi z grona tamecznego episkopatu łacińskiego i ormiańskiego, który-

by przypomniawszy nawskroś przesiąkłemu endecją klerowi polskiemu *cztery prawdy*. Oto jeszcze jeden przykład osamotnienia władcy Chomyszyna, wskazujący na to, jak niewczesnym było jego wystąpienie.

Grek.

Lwów.

Bibliografja.

Hryniewiecki Bolesław — *Tentamen Florae Lithuaniae*— Warszawa 1933, str. 367 i 2 tablice.

Praca poświęcona jest Uniwersytetowi Stefana Batoro w Wilnie i składa się z działów 1) Fragment flory Żmudzi z zielnika ks. Jerzego Pabrzeża (Ojca Ambrożego z Kretynki, II) Roślinność okolic Poługi, III) Materiały do flory Żmudzi i Litwy spólczesnej. Praca bogato ilustrowana i zawiera liczne mapki, fotografie roślinności i portrety.

Nie sposób w krótkim sprawozdaniu omówić szczegółowo i ocenić poszczególne działy tej pracy, z konieczności wypadnie ograniczyć się tylko do krótkiego jej streszczenia. Autor jej, znany i ceniony uczony, autor licznych prac botanicznych pochodzi z Litwy. Łączy on w sobie głęboką wiedzę fachową z uświadomieniem przeszłości i historii, umie podpatrzeć najdrobniejsze szczegóły dotyczące całokształtu życia i otoczenia, bo przecież to życie na tle przyrody się rozwijało i kształtowało, jak na tle przyrody powstawały zwyczaje, religie i kultury — rozwijał się człowiek. Praca niniejsza jak zresztą i wszystkie prace profesora Hryniewieckiego wnoszą do nauki romantyzm i ukochanie przedmiotu, głębokie odczucie i zrozumienie całej przeszłości i dzisiejszego tła i otoczenia człowieka.

W cytowanej pracy autor zgromadził tak wiele ciekawych fragmentów dotyczących historii podań flory krajowej, które już zdawało się ginęły i z pamięci ludzkiej schodziły stopniowo do mogił, gęsto po ziemi litewskiej rozsianych razem z tymi, którzy badań tych wykonawcami byli i którzy pamięć dawnego Uniwersytetu Wileńskiego, tego ośrodka wiedzy i zapału w sercu swoim nieśli i tradycję jego świetlaną przechowywać i przekazać umieli. Słusznie też profesor Hryniewiecki dzieli badania flory Litwy (podobnie jak Sławiński badania flory okolic Wilna podzielił) na cztery okresy: okres prac byłego Uniwersytetu Wileńskiego, jego znakomitych profesorów i uczniów (Gilibert, Jundziłłow, Wolfgang, Gorski, Pabrzeż); okres drugi po zamknięciu Uniwersytetu Wileńskiego (Narbutt, Gadonowie, Połujański, Buszyński, E. Tyszkiewicz, Kossarzowski, Polewski); okres trzeci ponownego obudzenia się życia naukowego z chwilą ukazania się Pamiętnika Fizjograficznego od r. 1881 (Drymmer, Łapczyński, Massalski, Hryniewiecki, Janczewski, Rudominówna, Trzebiński, Pietruszczyński, Niekrasz, Moellendorf, Zielencow) i wreszcie nowy okres od czasu niepodległej Litwy i założenia Uniwersytetu w Kownie (Regel, Kuprewičius, Minkevičius, Vilkaitis, Ivanaukas, Končius, Roukis, Kisinias, Brundza, Rautkys, Reimers, Hueck, Gams, Thomson).

W każdym z tych okresów zrobiono bardzo

dużo i z pewną dumą możemy twierdzić, że w tej dziedzinie kraj nasz nie pozostał w tyle za innymi krajami kulturalnymi. To też wielką zasługą profesora Hryniewieckiego jest, że w pracy tej dorobek pokoleń przeszłych zebrał i uporządkował, że z mroku zapomnienia nazwiska zasłużonych badaczy dla nauki i pamięci ludzkiej wydobył i zasługi ich podkreślił.

W części zawierającej spis gatunków roślin w granicach dzisiejszej Republiki Litewskiej rosnących autor wylicza 1062 gatunki roślin naczyniowych podając ich stanowiska i autorów, podaje zasięgi ciekawszych i rzadszych gatunków, analizuje elementy i skład flory. Praca ta winna się znaleźć w każdej bibliotece litewskiej, w każdym inteligentnym domu, w każdej szkole, a dzisiejsze jak i przyszłe pokolenia przyrodników obszerny będą mogły z niej czerpać materiał do pracy fachowej, uczyć się kochać i poznawać ziemię litewską z jej piękną naturą i przeszłością, cenić ludzi, którzy pracą swoją dla kraju duże wartości stworzyli i nam je przekazali.

W. S.

OD ADMINISTRACJI.

Wszystkim prenumeratom, którzy nie odnowią przedpłaty na rok bieżący, od przyszłego numeru będziemy zmuszeni wstrzymać wysyłkę pisma.

NAKŁADEM KOMITETU
T-WA POMOCY NAUKOWEJ
im. WRÓBLEWSKICH

wyszła nowa książka

Prof. MARJANA ZDZIECHOWSKIEGO

p. t.

**CHATEAUBRIAND
I BOURBONOWIE**

CENA 6 ZŁ.

**SKŁAD GŁÓWNY
W KSIĘGARNI
Gebethnera i Wolffa**